

Wstydliva historia, czyli rzecz o bytomskim lwie

3 listopada 2013

W centralnej części bytomskiego rynku oglądać możemy wspaniałą rzeźbę śpiącego lwa. Osoby, które nie znają jego fascynującej historii mogą pomyśleć, że to jest jedynie element dekoracyjny, którego forma i kształt są czysto przypadkowe. Tymczasem kryje on w sobie tragizm dziejów tego regionu i świadectwo przeszłości, które dla wielu pozostaje wstydlive.



Johann Theophil Karpas, Paul Schiwy, Paul Hruzik, Johann Kubeczek, Johann Muschalik – to tylko kilka polsko brzmiących nazwisk, które znaleźć możemy na liście żołnierzy, którzy polegli w wojnie prusko-francuskiej 1870-1871. Wszyscy wyżej wymienieni byli mieszkańcami okolic Bytomia i wszyscy służyli pod sztandarem z czarnym orłem. Dla każdego z nich w 1873 roku na bytomskim rynku postawiono masywny monument, który wieńczyła figura „śpiącego lwa”. Jego symbolika nie była w ówczesnej Europie anonimowa. W latach 20. XIX wieku figura „śpiącego” i „czuwającego” lwa stała się metaforą żołnierza poległego na polach bitew i wyrazem hołdu dla jego bohaterstwa i poświęcenia. Łączyła w sobie naturalistyczną fascynację światem zwierząt – tak typową dla sztuki tego okresu – z

dawnym, antycznym znaczeniem lwa, który uważany był za alegorię mądrości, heroizmu, władzy, siły, męstwa i zwycięstwa.

LWY NIEMIECKIE

Twórcą modelu „śpiącego lwa” był Theodor Erdmann Kalide, znany niemiecki rzeźbiarz pochodzący z Królewskiej Huty (obecnego Chorzowa). Pierwszy lew stanął w 1828 roku, zdobiąc nagrobek generała Gerharda Johanna Scharnhorsta – jednego z najwybitniejszych dowódców armii pruskiej. Od tej pory figura weszła do kanonu niemieckich monumentów patriotycznych. Zamawiały ją miasta chcące upamiętnić bohaterów i ofiary wojen. Stawały zazwyczaj na wysokich cokołach, górując nad przestrzenią miejską. Szczególną rolę zaczęły odgrywać po 1871 roku, kiedy stał się jednym z fundamentów mitu unifikacyjnego ziem niemieckich. Lwy stawały zarówno w Berlinie, Dortmundzie, Moguncji, jak i Gliwicach, Bytomiu i Legnicy, będąc swoistym symbolem ponad kulturowej wspólnoty tych terenów.

Cele stawiania lwów były więc dwojakie. Z jednej strony w istocie był on elementem hołdu oddanego poległym, z drugiej jednak nie można go było oderwać od procesu jednoczenia Niemiec i szukania elementu, który mógłby połączyć tak odmienne od siebie kulturowo ziemie. Figura i motyw jej stawiania, wspaniale wpisywał się zaś w znaczenie wojny francusko-pruskiej dla dziejów naszego zachodniego sąsiada.

„Śpiący lew” stał w Bytomiu do lat 50. XX wieku. Na spokojny sen pozwolono mu jednak tylko do 1934 roku. W tym bowiem roku przeniesiono go z rynku na Plac Akademicki. Tuż po wojnie tułał się po miejskim parku, aby wreszcie zaginąć – jak się wydawało – bezpowrotnie. Jego zaginięcie wiązano z komunistyczną polityką eliminacji jakichkolwiek świadectw germańskiej przeszłości nie tylko Śląska, ale też innych ziem nowej Polski. W imię powojennego odwetu i pozornego patriotyzmu, dewastowano niemieckie nekropolie wojskowe z okresu I wojny, niszczone pamięć o wybitnych Niemcach

urodzonych na ziemiach polskich, a monumenty – pamiętające jeszcze czasy pruskie – zamieniano w zwyczajne ozdoby parkowe kastrując z dawnego znaczenia i symboliki.

WOJNA WARSZAWSKO-ŚLĄSKA

Taki sam los spotkał bytomskiego lwa. W 2005 roku został odnaleziony przez dwóch historyków – dr. Zdzisława Jedynaka i Przemysława Nadolskiego – na terenie... warszawskiego ZOO. Zarówno wpis w inwentarzu Ogrodu Zoologicznego jak i sygnatura świadczyły, że warszawski lew jest w istocie śląskim lwem, porwanym prawdopodobnie w 1954 i wywiezionym do stolicy wraz z tonami węgla i stali. Do 2008 roku trwała więc batalia o odzyskanie lwa, która przypominała czasem sceny z filmów Barei. Władze Warszawy broniły bowiem figury jak niepodległości, zapominając chyba, że przez ostatnie pół wieku niszczała „ozdabiana” przez okoliczne gołębie. Na Śląsku z kolei „lwia sprawa” – podsycana przez lokalne media – stała się doskonałym alibi dla rządzących, którzy wszelkie niedociągnięcia przykrywali niezłomną walką o odzyskanie bytomskiego symbolu. Do sprawy włączył się także Ruch Autonomii Śląska, dla którego lew był swoistym ucieleśnieniem zabranej śląskiej tożsamości.

Ostatecznie lew wrócił do Bytomia i stanął ponownie na rynku. Wieńczy co prawda dużo mniejszy cokół niż przed wojną, ale najpewniej wzbudza o wiele większe zainteresowanie mieszkańców. Stał się czymś więcej niż tylko naturalistyczną figurą. Trzyletnia „wojna o lwa”, zwłaszcza okraszona antagonizmami warszawsko-śląskimi, sprawiła, że stosunek do pomnika na nowo definiował lokalny patriotyzm. Nieważna była przy tym wiedza co lew oznacza i skąd się wziął – najbardziej istotny był sam „skradziony” monument i jego cudowne odzyskanie, o kontekst historyczny dbało niewielu. To zaniedbanie wyszło przy okazji próby odpowiedzenia sobie na pytanie czy odsłonięciu lwa towarzyszyć ma też odsłonięcie tablicy informującej o jego dziejach i pierwotnym przeznaczeniu. – Odzyskaliliśmy lwa i teraz czekają nas kłopoty

– stwierdził na łamach „Życia Bytomskiego” historyk Maciej Droń. Pojawiły się głosy, że przywrócenie mu historycznego znaczenia będzie gloryfikacją pruskiego militarizmu i nadmiernym podkreśleniem niemieckości Śląska. Ówczesnym włodarzom Bytomia z trudem przez gardło przechodziła możliwość ponownego uczczenia poległych w wojnie prusko-francuskiej, zwłaszcza, że ginęli oni za pruskiego króla. Próbowano co prawda wymyślić rozwiązanie kompromisowe, ale ostatecznie wybrano drogę najgorszą i...pozostawiono pomnik bez podpisu. „Wykastrowany” lew stoi więc na rynku, choć mało kto wie po co.

HISTORIA NIEJEDNOLITA

Sprawa bytomskiego lwa ukazuje jak duży mamy w Polsce problem z mówieniem o historii naszych współczesnych ziem i zaakceptowaniem faktu, że o przeszłości trudno mówić w sposób zerojedynkowy. Szczególnie problem ten ujawnia się w kontekście wszelkich dyskusji o Górnym Śląsku, który przecież od czasów Kazimierza Wielkiego rozwijał się poza polską strukturą państwową. Choć pamięć o polskości tych terenów zachowywano praktycznie przez cały okres istnienia Królestwa Polskiego i późniejszej Rzeczypospolitej, to jednak nie podjęto nigdy zdecydowanych starań o ponowne włączenie Śląska do Polski. Lokalna historia w luźny sposób związana jest więc z ogólnopolskim dziedzictwem i trzonem kulturowym. Dziejom Górnego Śląska obcy jest sarmatyzm, demokracja szlachecka, czy konstytucja 3 maja. Polskość tych terenów opierała się na wspólnocie językowo-kulturowej, nie zaś na historiograficznych mitach, które przez XIX i XX wiek budowały tożsamość mieszkańców dawnej Rzeczypospolitej. Historia Śląska jest po prostu inna, sęk w tym, że w zunifikowanym modelu rodzimej edukacji historycznej nie ma na nią miejsca. Do końca nie ma się zresztą czemu dziwić. Każde wspomnienie o czeskości, lub niemieckości tych ziem może być wszak uznane za kwestionowanie przynależności Śląska do Polski. I tak w historię wkracza twarda polityka i dylematy związane z pojęciami patriotyzmu,

czy narodowej racji stanu.

Na domiar złego współczesna narracja historyczna skażona jest w dużej mierze komunistyczną wizją dziejów naszego państwa. Jeśli doszukiwać się postkomunizmu to właśnie w sposobie przedstawiania przeszłości naszego kraju i interpretacji wydarzeń z epok minionych. W komunistycznej wersji historii chodziło bowiem o jak najgłębszą jej unifikację. Odmienności były źle widziane, a wręcz z lubością atakowane. Różnice kulturowe różnych ziem polskich owszem akceptowano i wyróżniano, ale wyłącznie w formie rodem z Cepelii. Pozostałe skutecznie wycierano z pamięci, za wszelką cenę lansując tezę o jednolitości historii ziem polskich. Po 1989 roku niewiele się w tym wymiarze zmieniło, a sprawa chociażby Muzeum Śląskiego, czy powojennych obozów dla ludności śląskiej, pokazuje jak trudno zmienić wpajany przez lata sposób narracji.

Owszem można by to spojrzenie zmienić radykalnie, wejść na ścieżkę historii multikulturowej, podkreślającej wszelkie niuanse i niejednorodności, tylko pytanie na czym wtedy oprzeć formowanie rodzimej tożsamości, do jakich wspólnych mitów będziemy mogli się odwołać? I tak stajemy w obliczu poważnego sporu pomiędzy wołaniem o historyczną prawdę, która domaga się otwartego mówienia o tym czym był Śląsk zanim włączony został do Polski, a wartościami narodowymi, których elementem są ogólnopolskie mity historiograficzne, które dominują często nad historią lokalną. Obecnie próbuje się w tym konflikcie sumienia znaleźć trzecią drogę i połączyć myślenie o dziejach z perspektywy lokalnej z kontekstem ogólnopolskim. Tyle, że konsekwencją takich prób jest brak napisu na cokole zwieńczonym przez bytomskiego lwa.

W tym wszystkim można jeszcze pokusić się o czwarty rodzaj interpretacji, który nazwałbym humanistycznym, albo ogólnoludzkim. Powinien on być szczególnie bliski w obliczu zbliżających się świąt Wszystkich Świętych i Dnia Zadusznego. Nasza kultura wymaga od nas godnego pogrzebania zmarłych i

pamięci o nich. Misterium śmierci przekracza przy tym podziały kulturowe i polityczne, wrogość i wzajemne animozje. W takim myśleniu człowiek pozostaje zawsze człowiekiem, nawet jeśli przed śmiercią był naszym wrogiem. Mieszkańców Bytomia poległych w wojnie prusko-francuskiej trudno nazwać wrogami. Byli oczywistymi ofiarami ówczesnej sytuacji politycznej wplecionymi następnie w niemiecką narrację tworzącą z wydarzeń 1870-1871 mit narodowotwórczy. Może dla nich lwa bytomskiego należy zdefiniować na nowo i uznać za symbol tragicznej historii tego regionu, a ponad wszystko za zwyczajny wyraz pamięci o tych, którzy – może wbrew swojej woli – polegli zostawiając swoje rodziny i najbliższych.

Autor: Sebastian Adamkiewicz ([CC BY-SA 3.0](#))

Zdjęcie: Paweł Marynowski ([CC BY-SA 3.0](#))

Źródło: Histmag.org